

# PORADNIK JĘZYKOWY

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILIŃSKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JĘZYKA

*„Poradnik Językowy” zalecony został przez Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dla szkół wszelkich typów rozporządzeniem Nr. II — 9864/32, ogłoszonym w Nr. 9 Dziennika Urzędowego Min. z r. 1932.*

## SKĄD POWSTAJĄ I O CZEM POU CZAJĄ WYJĄTKI GRAMATYCZNE.

Język jest jednym z potężniejszych zjawisk duszy ludzkiej. Poznanie jego wytworów, rozejrzenie się we wzajemnych między ich odmianami stosunkach, uprzytomnienie przebiegów, które do życia wytwory te powołują, — wszystko to, oczywiście, ułatwia i umożliwia dokładniejsze poznanie i bliższe zrozumienie tajników umysłowego życia człowieka. Trzeba tylko poza wytworem, uzmysłowionym w głosce lub formie gramatycznej, umieć wglądać w czynniki jego powstawania. Wtedy umysł ludzki odsłoni się nam, jako zawily splot wiąza del skojarzeniowych. Każdy łańcuch asocjacyjny przewija się w tym olbrzymim systemie własnym pasmem, ale poszczególne jego ogniwa wchodzą w kontakt z innymi szeregami wyobrażeń. Powstaje mnóstwo pokrzyżowań, a wyobrażenie, zjawiające się w świadomości w punktach tych pokrzyżowań, ogarniając składniki, wyszłe z różnych szeregów skojarzeniowych, nieraz wykazują w swej treści wewnętrzne sprzeczności i niekonsekwencje. Umysł ludzki, oddany przemożnej władzy bezwiednych skojarzeń, z natury swej jest skazany na wieczne wikłanie się w sprzecznościach, których obecności często ani nie przypuszczają, ani nawet odczuwają. Ten stan umysłu ludzkiego z zadziwiającą wiernością odbijają wytwory językowe. Trzeba się tylko nauczyć umiejętnie na nie patrzeć. Pod tym względem wartość mają wyjątki gramatyczne. W opinii przeciętnego ogółu są one tylko ciężkim balastem pamięciowym i w tak niedwuznaczny sposób mają rzekomo dyskredytować naukowość gramatyki; w istocie zaś swojej są one widomymi dowodami owych wikłających się w umyśle ludzkim sprzeczności, a wyjaśnienie ich przetwarza się w jedno z najciekawszych zadań gramatyki, bo pozwala przenikać do głębi życia psychicznego człowieka. Przyjrzyjmy się faktom i starajmy się wziąć od nich oczekiwaną naukę.

Gramatyka elementarna uczy, że w dzisiejszym języku polskim rzeczowniki męskie mają dwojaką formę w bierniku liczby pojed.: t. zw. żywotne zgadzają się z dopełniaczem, nieżywotne — z mianownikiem. Ale oto zaraz się zja-



wia wyjątek, który podważa niezmiennosc sformulowanej zasady, bo rzeczowniki, oznaczające tańce i gry, choć nieżywotne, mają w bierniku formy, zgodne z dopełniaczem. Mówimy przecież *tańczyć* lub *grać mazura, krakowiaka, kujawiaka, poloneza, kontredansa* i t. d. Wyjątki te, które wespół z mnóstwem innych, niemniej rażących odchyień, z taką oczywistością wykazują „nielogiczność” języka i tak bezwzględnie nicują wszelkie reguły gramatyczne, są odbiciem owych pokrzyżowań skojarzeniowych, które, jak wspominaliśmy, tylu zmotanami kłębkami przewijają się przez świadomość ludzką.

Zasada ogólna, regulująca postaci biernika liczby pojed. rzeczowników męskich, opiera się na skojarzeniu, uzależniającem formę od treści; ale wyobrażenia postaci zewnętrznych wyrazów uniezależniają się od zawartych w nich treści i tworząc samodzielny łańcuch skojarzeniowy, utrwalają się w świadomości w tych kształtach, w jakich się raz w niej wycisnęły w związku ze zwykłym ich znaczeniem, i zjawiają się w tych samych postaciach nawet wtedy, gdy zmiana znaczenia powinna za sobą pociągnąć także przeobrażenia formy. Nazwy tańców polskich, jak *mazur, krakowiak, kujawiak* są jednocześnie i przede wszystkim nazwami przedstawicieli plemion polskich i w tem znaczeniu, jako rzeczowniki żywotne, mają w bierniku liczby pojed. formy, zgodne z dopełniaczem. W tych postaciach formy biernikowe tych rzeczowników odcisnęły się w pamięci językowej tak trwale, że nie zmieniają ich nawet wówczas, gdy rzeczownik, przybierając nowe znaczenie, jako nazwa tańca, przechodzi do kategorii rzeczowników nieżywotnych, które, jak wiadomo, wymagają innych form biernika. Tutaj więc łączność wyrazu z kategorią formalną jest tak silna, że nie może go z niej wytrącić zmiana znaczenia. W następstwie tego między formą wyrazu a jego treścią powstaje sprzeczność. Źródłem jej jest utrwalona przez zwyczaj przewaga wyobrażeń formalnych.

Ale oto z tak nawiązanego kłębka skojarzeniowego zaczyna się wysnuwać nowa nitka asocjacyjna, tym razem dzierzgana wyobrażeniami znaczeniowymi. Wyrazy *mazur, krakowiak, kujawiak...*, jako nazwy tańców, wyosobniają się w oddzielną kategorię, wchłaniają w siebie inne o pokrewnem znaczeniu wyrazy i urabiają ich formę wedle ustalonej w następstwie opisanych wyżej przyczyn modły: na wzór form biernikowych *mazura, krakowiaka...* powstały takie formy biernika, jak *kontredansa, kadryla...* Proces, rozpoczęty zrazu w następstwie uniezależniania się formy od treści rozwinął się dalej i ogarnął całą kategorię pod wpływem skojarzeń, opartych, w przeciwieństwie do stadium początkowego, na przewadze wyobrażeń znaczeniowych, która doprowadziła do uzależnienia formy od treści.

Weźmy przykład inny. Znaną jest „anormalna” i dziwaczna napozór składnia liczebników zbiorowych. Z pochodzenia swojego mają one deklinację rzeczownikową, a więc, jak zwykle w takich wypadkach, określane przez nie

rzeczowniki powinny się z niemi łączyć na podstawie rzędu. Tak jest istotnie w większości form przypadkowych, ale w celowniku i miejscowniku zamiast spodziewanego rzędu zjawia się związek zgody: mówimy *oboje rodziców, obojga rodziców, obojgiem rodziców*, ale nigdy inaczej, jak *o bojgu rodzicom* i *o obojgu rodzicach*. Przyczyną tej „anomaiji” są znowu powikłania skojarzeniowe. We współczesnym języku polskim wytworzyła się obok deklinacji rzeczownikowej i zaimkowo-przymiotnikowej osobna kategoria formalna deklinacji liczebnikowej. Charakterystycznym znamieniem tej deklinacji liczebnikowej jest końcówka *-u*, występująca we wszystkich przypadkach prócz mianownika i biernika, nap. M. B. *pięć*, D. C. N. Mjsc. *pięciu*, M. B. *piętnaście*, D. C. N. Mjsc. *piętnastu*, M. B. *pięćdziesiąt*, D. C. N. Mjsc. *pięćdziesięciu*. Kończąca się w celowniku i miejscowniku liczebników zbiorowych, z pochodzenia swojego należy do deklinacji *r z e c z o w n i k o w e j*, ale przypominając postacią zewnętrzną końcówkę *-u* deklinacji *l i c z e b n i k o w e j*, zaczęła ulegać jej wpływowi skojarzeniowym, aż w końcu została z nią całkowicie utożsamiona. Z chwilą, gdy się to stało, formy celownika i miejscownika liczebników zbiorowych zostały wytrącone z systemu deklinacyjnego rzeczowników i wciągnięte w obręb tego ośrodka asocjacyjnego, jakim jest system deklinacji liczebnikowej. Te przesunięcia w zakresie wyobrażeń morfologicznych musiały za sobą pociągnąć odpowiednie konsekwencje składniowe. Ponieważ liczebniki główne w przypadkach z końcówką *-u* łączą się z rzeczownikami na podstawie zgody, więc i liczebniki zbiorowe z chwilą, gdy poczucie językowe utożsamiało właściwą im w celowniku i bierniku końcówkę *-u* z końcówką deklinacji liczebnikowej, otrzymały w tych przypadkach składnię liczebników głównych, czyli związek zgody: na wzór *pięciu oknom*, *na pięciu oknach* weszły w użycie zwroty *pięciorgu drzwiom*, *w pięciorgu drzwiach*.

Przykładów takich możnaby mnożyć dowoli; znaczna część t. zw. wyjątków gramatycznych jest wynikiem podobnych pokrzyżowań skojarzeniowych; i kto umie patrzeć na rzeczy nieco głębiej, nie będzie „nielogiczności” i niekonsekwencji systemu gramatycznego tłumaczył brakiem prawidłowości rozwoju językowego, lecz przyjmie je, jako cenne objawy, pozwalające w świetle metodycznej analizy przeniknąć do głębin życia duszy ludzkiej; a kto, sięgając po dalsze konsekwencje, spojrzy jeszcze szerzej, zobaczy w owych „łamańcach” gramatycznych przejawy tego, co jest najgłębszym i najistotniejszym nurtem życia. Ludzie „głębszych zainteresowań” oddają je wyniosłe, jak za tęczłą i zjełczałą strawę, do przeżuwania ciasnym szkolarzom, a przecież są one najrzetelniejszymi świadkami, uwidoczniającymi wyraziście z niepodrobioną bezstronnością układ stosunków w najbardziej interesujących nas dziedzinach życia duchowego i społeczno-kulturalnego.

Przebiegi duchowe, odzwierciedlające się w t. zw. wyjątkach gramatycz-

nych, prowadzą w nieubłaganym następstwie do tego, że świat naszych wyobrażeń i pojęć nie tworzy systemu zwartego, ułożonego wedle modły logicznej. Mnóstwo tam niekonsekwencji, sprzeczności a nawet rażących przeciwieństw. I nic w tym niema dziwnego, bo logika prowadzi umysł do niewzruszonych zasad i konsekwentnych, zrównoważonych systemów, a gdzie zaparuje równowaga i brak ruchu, tam się zaczyna śmierć życia i martwota. Jeżeli więc istotą życia i jego koniecznym warunkiem jest ruch, wywoływany nieustannym naruszaniem równowagi, to i życie duchowe objawiać się musi także w ciągłym ruchu, podtrzymywanym przez nieustannie narastające powikłania w dziedzinie uczuć, wyobrażeń i pojęć. A ponieważ świat idei i pragnień jest źródłem, z którego wypływa wszelkie ludzkie działanie, więc wszystkie te niekonsekwencje i powikłania wewnętrzne muszą z konieczności pociągać za sobą sprzeczności i rozbieżności w działalności zewnętrznej; stąd kolizje w życiu jednostkowym ludzi, międzyludzkie konflikty w stosunkach gospodarczych, społecznych i politycznych, w zakresach kultury religijnej, artystycznej i naukowej. Rozwój historyczno-kulturalny zdążył poprzez te sprzeczności i przeciwieństwa, i ktoby go chciał ująć w jakieś logiczne schematy, straciłby bezpośredniość z rzeczywistością i zawisł ze swoją doktryną w powietrzu.

Język, jako jeden z najbardziej uzmysłowionych objawów życia psychicznego i jako jeden z najprostszych elementów życia społecznego, daje nam pełne wagi wskazówki, a umiejętne jego traktowanie doprowadza do wniosków, które nas chronią przed doktrynerskim ujmowaniem tych dwóch najbardziej nam bliskich dziedzin rzeczywistości. Na tem właśnie polega kształcąca i wychowawcza wartość teoretycznej nauki o języku.

Stanisław Szober.

## HISTORJA WYRAZU *POPRAWNY* W JĘZYKU POLSKIM.

(Przyczynek do genealogji jednego z haseł *Poradnika*).

(dokończenie)

Zdarza się aż nazbyt często, że słownikarze zwodzą fikcją własnego lub cudzego wymysłu. Taką fikcją leksykograficzną jest »*poprawny*« w znaczu. »ten, który może być poprawiony<sup>1</sup>. Za tem zdaniem ustawię cały komunik dowodów, pierwsze będą leksykograficzne, drugie dostojniejsze, zarywające o ogólne cechy naszego języka i o inne mowy obce.

»*Poprawny*« jako »ten, który może być poprawiony<sup>1</sup>, znany jest dopiero słownikarstwu XVIII wieku (jedynie dostępne autorowi drugie franc.-niem. polskie wydanie Mownika Troca r. 1771 podaje »*poprawny, naprawny, to iest, co się może naprawić*«) i to znacznie mniejszej liczbie słowników, niż »*niepo-*

*prawny*«. Cytaty żadnej u Lindego, w Słowniku Warsz. ani widu ani słyhu. Wietrzmy fikcję słownikarską. Wątpliwości potwierdza Linde:

»Zbogacił się przez to nie raz język mniej używanym wyrazem znaczącym twierdzenie, *affirmativum*, na którym schodzić nie powinno, skoro jest wyraz przeczący *negativum*, tak *niedopędny*, np.: »wyroków kresy niedopędne« dało mi powód kłaść *dopędny*, t. j. podobny do dopędzenia, dopędzonym być mogący« (wstęp do słownika polskiego, str. IV).

I Troc lubił tak wzbogacać język. Wyraz *poprawny* powstał z pobudek szlachtetnych, ale to fikcyjności go nie pozbawiło. Za Lindem, niewolniczo, przejęły słowo szpały słowników, Mrongowjusza i Sł. Warsz. Tęż samą drogę odbyły i inne towarzyszy-fikcje o tem samym znaczeniu i budowie, np.: *przyskoczny*, *przyłomny*, *przywrotny*, *ujętny*, *wybadany*.

Tyle światła rzuca rozpatrzenie słownikarstwa. Przejdźmy zkolei do dalszych dowodów.

Ukraińcy znają tylko *nepopráwnij*. Dlaczegożby nie mieli byli przejąć i postaci niezaprzeczonej? Wyjaśni się to najłatwiej przypuszczeniem, że jej polszczyzna nie miała.

Taki brak nie jest nienaturalny. Obok łaciny bogatej w parę *inemendabilis-emendabilis*, Czesi kontentują się tylko słowami *nenapravitelný*, *nepolepšitelný*<sup>1)</sup>, Szwedzi *oförbätterlig*<sup>2)</sup>, Niemcy ponoć potocznie używają tylko *unverbesserlich*.

Co więcej: taki brak występuje na szerokiem tle językowem. Oto w językach słowiańskich, a również i niektórych innych, tylko niewielka część przymiotników zaprzeczonych o znaczeniu możliwościowem (facultativa zaprzeczone) ma odpowiedniki niezaprzeczone. Stąd więc wynika, że *niepoprawny* nietylko jako wyraz oznaczający to właśnie, ale także jako przedstawiciel obszernej kategorii znaczeniowej, ma wszelkie podstawy do tego, aby występować nieparzyście t. j. bez odpowiednika niezaprzeczonego.

Naostatek jeszcze taka poszlaka, poświadczająca fikcyjność *poprawnego*. Dziś słowa nie znamy. Gdybyśmy zawierzili słownikarzom, istnienie jego przypadałoby na w. XVIII i XIX. Otóż język nasz nie sady sążnistemi skokami i w słownictwie w. XVIII — XIX większa jest liczba słów, które do dziś dotrwały, od tych, które zanikły. Zatem *poprawny* miałby, gdyby istniał, więcej widoków na dotrwanie, niż zanik; jeżeli więc dziś jest nieznan, to raczej i wówczas go nie było, niż istniał.

1) Wiadomość od dr. Kurza. 2) Wiadomość od p. Callemana.

Tyle-to poszlak przemawia za fikcyjnością słowa *poprawny* w znaczeniu 'mogący być poprawionym'.

\* \* \*

Ten sam kształt - brzmienie, ale już nie fikcja, a w jednym ze znaczeń słowo dziś częste i ściśle zrosłe z działalnością „Poradnika”.

Znajdziemy je dopiero u Daneta (1743-45), pod hasłem *correct* POPRAWNY, *gdzie myłki niemasz*, pod *correctement* — POPRAWNIE *bez omyłkow.* I pod *corrigé*, co nas zdziwi, Danet podaje POPRAWNY, POPRAWNA, *poprawiony.*

Linde zna oba te znaczenia.

Jak więc widzimy *poprawny* ma w czasach Daneta i Lindego również znaczenie dodatkowego imiesłowu biernego, znaczy tyle, co i *poprawiony.* Unacznijmy to przytoczeniem wyrazistszem, niż zawarte u Lindego, zresztą zaczerpniętem z tego samego źródła:

»Potym czyta P. Sekr. projekt Kommissyi policyi poprawny przez deputacyą« (Gazeta Nar., 1791 r., str. 196).

Częściej występuje w tem znaczeniu zwykły imiesłów bierny:

»Przynosi deputacya poprawiony projekt straży« (tamże, str. 179).

Znaczenie imiesłowu biernego traci *poprawny* gdzieś w w. XIX. Jeszcze Linde z r. 1854 to »wydanie *poprawne* i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich«.

Takich przymiotników-imiesłowów o znaczeniu biernem w staropolszczyźnie większa gromada, dziś albo zaginęły, albo porzuciły konjugację. Por.:

»potrawy nie wykwiłtne, a tak czysto *przyprawne*, iż samo wspanięcie ostrzyło apetyt« (Krasicki, Pan Podstoli),

»mniej znane i *szacowne* od własnego narodu, niżby się należało« (tamże),

»Wachmistrz siedzi na szumnym *dereszowatym* kałmuku, od nich *zdobcznym*« (Pasek, Pamiętniki).

Słownik Dasypodjusza (1643) ma pod hasłem *correctus* (*gebessert*) tylko »*poprąwiony*«, pod *incorrectus* (*ungebessert*) — »*niepoprąwiony*«. Zatem: wyraz »*poprawny*« powstał jako dodatkowy imiesłów bierny w czasie pomiędzy 1643 a 1743 (data wydania I tomu Daneta).

Rozszerzenie przez *nie-* i *-ość-* nie będzie już nas długo zajmować bo rzecz to zwykła w polszczyźnie od czasów dawniejszych, niż Mysia Wieża i Popiel do dziś, i dlatego *niepoprawny* i *poprawność* mogły powstać jednocześnie z *poprawnym*.

*Poprawność* pierwszy podaje Linde jako »niebyt wad, omyłek, błędów«.

Znaczenia fr. *correct* *poprawny* dochrapuje się szybko; z dużym prawdopodobieństwem można mu udowodnić, że rości to za wyrazem francuskim (»co Francuz wymyśli, to Polak polubi«).

Znowu zbierzmy poszlaki za tem przypuszczeniem.

Fr. *correct* wcisnęło się we wszystkie zakątki Europy, por. ang. *correct*, lit. *korektiškas*, niem. *korrekt*, szwedz. *korrekt*; znane jest u wszystkich prawie Słowian: czes. *korektní*, ros. *korrektnyj*, serbo-chorw. *korektan*, ukr. *korrektnij*. Wobec tego byłoby wprost nieprawdopodobne, żebyśmy Polacy, wzbronili mu, byli wstępu na naszą ziemię. W XVIII w. kazaliśmy mu się przebrać w gotowe polskie suknie, więc wyglądał tak: *poprawny*, w XIX pozwoliliśmy mu się nosić zupełnie po francusku: *correct*, ale to tylko o zachowaniu się. Por.:

»w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przede wszystkim chęć, żeby się wydać narzeczonym *correct*«.

Kilka wierszy niżej:

»tworzyli najbardziej *poprawną* i najbardziej wzorową parę narzeczonych« (Sienkiewicz, Rodzina Połanieckich).

Poszlaka druga. U Niemców *korrekt* gości od początków XVIII w. (tak Weigand w Deutsches Wörterbuch), nasz *poprawny* po raz pierwszy zanotowany jest u Daneta (1743). Bliskość dat znacząca: pierwsza połowa osiemnastego stulecia, to początek ekspansji fr. *correct*. Zatem: powstały nieco wcześniej *poprawny* w znac. łac. *correctus* nasiąka znaczeniem fr. *correct* pod wpływem tegoż właśnie wyrazu.

Ponieważ *poprawny* pełnił w XVIII st. rolę zastępczego imiesłowu biernego, dalej, ponieważ fr. *correct* wzięło się również z imiesłowu biernego łac. *correctus*, nasiąknięcie wyrazu *poprawny* nowem znaczeniem nasunęło się niejako samo i ma charakter uczony, dokonało się w oświeconych kołach społeczeństw, władających i francuskim i łaciną i odczuwających doskonale oba te języki. Może dla tego uczonego pochodzenia »nie zbłądził pod strzechy«?

*Poprawny*, gdy spytamy, co zacz pod względem budowy, całkowicie jasnej odpowiedzi nie da. Dwie są możliwości: słowem macierzystem jest rzeczownik *poprawa*, w XVIII w. mający znaczenie przechodnie, albo jest niem czasownik *poprawić*. Opowiemy się za tem ostatniem, bo, jakkolwiek są pośród przymiotników pełniących rolę zastępczego imiesłowu biernego i odrzeczownikowe (jak *zdobywczy*), to jednak większość, co wynika z natury rzeczy a potwierdzenie uzyskuje w szerszym materiale, jest pochodzenia odczasownikowego.

Może uczone pochodzenie wyrazu, a może jakieś inne niewykryte przyczyny sprawiły, że *poprawny* w XVIII w. wcale nie kwapi się do języka »stylu«.

gdzie mu dziś tak swojsko. Nie używa go X. Ignacy Włodek w dziele »O naukach wyzwolonych« (1780). Zalety języka maluje słowami: *jasność, czystość, słodkość, brzmienie, żywość, gładkość* (str. 330), *czysty, własny, obfity, i doskonały* (str. 339).

Obywa się bez tak popularnego dziś słowa X. Onufry Kopczyński w »Poprawie błędów« (1808); ani w pozgonnej »Grammatyce« (1817) słowa *poprawny* niema. W »Grammatyce« zastępuje je poprostu *dobry*, np.:

»Nie bawię tu czytelnika spisem *niedobrych* nowych wyrazów« (str. 140).

»W roku 1807 wydałem króciuchną, ale iak mi się zdaie, dokładną naukę o *dobrem piśmie*« (str. 195).

Tak samo u Krasickiego:

»wielojęzyczni nie umieją żadnym (językiem) dobrze i mówić i pisać.« (Pan Podstoli).

Słowo *poprawny* znajdziemy dopiero u Jana Śniadeckiego. W piśmie »O logice i o retoryce« mówi on:

»Uczymy się tamtej (gramatyki), żeby mówić i pisać poprawnie. Ale że można pisać poprawnie, a przytem źle i nudnie, to jest ciemno, nieporządkanie i niesmacznie; broni nas od tej nieodpuszczonej wady retoryka.«

\* \* \*

Jeden jedyny z pośród wielkiej liczby słowników drobny »Neues Taschenwörterbuch der deutschen, polnischen und französischen Sprache«, wydany we Wrocławiu, r. 1813, podaje słowo *poprawny* w znaczeniu dziś nieznanem »poprawiający« (pod niem. *verbessernd*, obok fr. *correctionnel* i pol. *poprawiający*).

Znaczenie czynne jest ze względu na zasady słowotwórcze języka polskiego w słowie *poprawny* zupełnie możliwe, por. *baczny, oszczędny*. Co więcej, możliwy jest wypadek taki, że wyraz jakiś ma współcześnie i bierne i czynne znaczenie, por.:

»Na takich świetnych wzorach nieustannie wprawny, stałeś się górny prozą i wierszem *zabawny* (zabawiający).« (Trembecki, do Adama Naruszewicza).

»W niebytności dzieci pracą *zabawnych* (zabawionych, t. j. zajętych).« (Monitor z r. 1777).

Jednak ponieważ tylko jeden słownik i to tak nieważny zna słowo *poprawny* w znaczeniu czynnym, informacja słownikarza nie może rozproszyć wrażenia, że *poprawny* = »poprawiający« to fikcja leksykograficzna.

Stanisław Westfal.



## ROZTRZĄSANIA.

Kto? i co? jako zaimki pytające. Jako nauczycielka języka ukraińskiego dałam w jednej klasie zadanie, polegające na tem, że do przeczytanego opowiadania mieli uczniowie samodzielnie ułożyć pytania i dać na nie odpowiedzi. We wszystkich prawie zadaniach pierwsze pytanie dotyczyło występującej w opowiadaniu wrony, przyczem połowa pytań zaczynała się od zaimka *szczo?* = *co?*, połowa zaś od *chto?* = *kto?*

Ta niejednolitość zastanowiła mię. Gramatyki określają *kto?* jako zaimek osobowy.

Jednakże zauważyłam, że moje poczucie językowe nie jest z tem w kompletnej zgodzie. Naprzykład zdawało mi się, że pytając o wyraz „pies” w zdaniu „pies wybiegł na moje spotkanie”, powiem raczej „Kto wybiegł na moje spotkanie?” niż „Co wybiegło na moje spotkanie?”.

Spotkałam się też z podobnem stawianiem sprawy u wielu innych osób z grona moich znajomych. Niektóre nie miały zdecydowanej postawy. W pierwszej chwili powiedziały: „Oczywiście, kto mi wybiegł na spotkanie”, ale później zreflektowały się: „Przecież *kto?* jest zaimkiem osobowym, więc powinno być: Co wybiegło? — ale nasby to jakoś raziło, właściwie nie wiemy”. Nauczycielka zoologii powiedziała, że ta kwestja już dawno ją dręczyła, nie mogła zdecydować się na żaden z tych dwu zaimków w odniesieniu do zwierząt i ratowała sytuację pytając np.: „Które jeszcze ze zwierząt posiada takie samo uzębienie” zamiast „Kto posiada...?” albo „Co posiada...?”.

W niektórych wypadkach jeszcze trudniej było rozstrzygnąć. Np. „pies mię ugryzł”. Odrzucano stanowczo możliwość zapytania: „Kto mię ugryzł?” bo toby brzmiało komicznie i wyglądało na to, że człowiek człowieka ugryzł. Ale nie chciano się również zgodzić na pytanie: „Co mię ugryzło?”, bo toby odrazu nasuwało przypuszczenie, że jakiś np. insekt tu zawinił.

Pierwsze przypuszczenie, które mi się po tych wywiadach nasunęło, było takie: we współczesnym języku polskim zaznacza się pewna tendencja do tego, by zaimek *kto?* stał się wyrazicielem nie tylko osoby, ale każdej istoty żyjącej, natomiast *co?* — wszelkich rzeczy nieżyjących. Przykład z insektem zdawałby się temu przeczyć. Możliwy więc do poprzedniego zdania wniesć poprawkę: „Dotyczy to istot żyjących wyżej zorganizowanych”.

Sądziłam, że może uda mi się znaleźć pewne wskazówki w słownikach języka polskiego. Słownik etymologiczny Brücknera podaje: *kto?* — zaimek męski pytajny. *Co?* — gen. sg. zaimka nijakiego pytajnego.

W ten sposób podaje ważne z punktu widzenia gramatyki historycznej, ale dziś już nieistotne rozróżnienie tych dwu zaimków pod względem rodzaju.

W Słowniku Warszawskim *kto?* = co zacz, co za jeden, który (człowiek); *co?* = jaka rzecz?

Więc jest tu mowa tylko o ludziach i rzeczach. Niema wzmianki o istotach żyjących, które nie są ludźmi. Takby się pozornie wydawało. Ale oto pod wyrazem „Rzecz” czytamy w tymże słowniku: „Rzecz = każde ciało, nie będące człowiekiem, a podpadające pod zmysły”<sup>1)</sup>. Teoretycznie więc Słownik Warszawski jest w zgodzie z gramatycznym rozróżnianiem tych zaimków. Ale w licznych przykładach, które podają słowniki: Lindego i Warszawski, brak zupełnie takiego przykładu, w którymby *co?* odnosiło się do istoty żyjącej, nie będącej człowiekiem.

Praktyka mówienia kłóci się tu z teorią.

Kwestji tej możnaby specjalnie nie poruszać, bo ludzie, niezbyt w tych sprawach pewni, oddawna poradzili sobie w następujący sposób. Pytają: „Kto ci się tu wydaje najsympatyczniejszy?”, myśląc o pewnym zbiorowisku osób, „Co ci się tu najwięcej podobało?” — myśląc o przedmiotach, ale „Które ze zwierząt (np. w ogrodzie zoologicznym) wydało ci się najmądrzejsze?”, — i unikają w ten sposób zarówno zaimka *kto?* jak i *co?* Tak rozstrzygamy sprawę w mowie potocznej, ale znajdziemy się w kłopotcie, gdy zechcemy np. robić rozbiór logiczny zdania i zapytywać odpowiednio o podmiot. Rozbiór zdania „Pies szczeka” wygląda zazwyczaj u dzieci tak:

Kto? co — pies — podmiot.

Co robi? — szczeka — orzeczenie.

Ale takie pytanie przez *kto?* *co?* jednocześnie nie jest chyba dobre. Musimy młodzież nauczyć logicznie myśleć i ściśle się wyrażać.

Wobec tego prosiłabym „Poradnik Językowy” o zajęcie w tej kwestji stanowiska.

Zofja Markowska.

\* \* \*

Sprawa, którą porusza p. Z. Markowska, stanowiła kiedyś przedmiot dyskusji na jednym z zebrań naszego Towarzystwa. Wówczas szło komuś o to, jak pytać o mysz lub szczura: *kto?* czy *co?*

Ponieważ idzie właściwie o zakres znaczeniowy dwóch wyrazów, więc trudno kwestję zamknąć w jakiejś regule gramatycznej. Słowniki niezbyt wiele dostarczają materiału.

*Kto* jest z pochodzenia swego zaimkiem męskim, zawierającym temat *k-*

1) Gdy się zestawi obydwa określenia, wypadnie nieścisłość. Bo przecie każdy zapyta *co?* o wszelki rzeczownik umysłowy, a więc oznaczający przedmiot nie podpadający pod zmysły.

i partykułę *to*, nie występującą w przypadkach zależnych (*kogo, komu* i t. d.). O formie żeńskiej tematu zaimkowego *k-* pisze Brückner w Słowniku Etymologicznym (str. 278), że „niema jej u Słowian”; warto zwrócić uwagę, że z Knapskiego cytuje Linde tę właśnie formę żeńską: *ka* w zwrocie „*ka pokusa?*”.

W formie *kto* znaczenie osobowości przeważa nad znaczeniem męskości: nikt się nie zawaha zapytać *kto tam?* nawet jeżeli wie, że osobą za drzwiami jest jakaś kobieta. Mimo to zwrot „kto z pań wie o tem, że” i t. d. razi, podczas gdy „kto z panów?” — nie (obok częstszego może „który z panów?”). „Kto z państwa?” jest zupełnie właściwe i wygodne, bo pozwala nie liczyć się w formie pytania z płcią osoby, o którą chodzi: chcąc użyć zaimka *który?*, trzeba by dodać „*lub która?*”, albo od razu użyć formy rodzaju nijakiego „*które z państwa?*”. W ostatnim wypadku zachodzi, nawiasem mówiąc, dziwny paradoks: pragnąc uniknąć użycia takiej formy zaimka, któraby była niestosowna ze względu na jeden z dwóch możliwych rodzajów, używamy formy nijakiej, o której wiemy z góry, że do żadnego z dwóch rodzajów odnosić się nie może. Obfitość odróżnień formalnych nie zawsze jest udogodnieniem dla mówiących.

Rzecz ciekawa, że wahania w wyborze zaimka *kto?* lub *co?* nie występują z jednakową siłą we wszystkich przypadkach: *komu?*, nie razi chyba naprzykład w zdaniu: „komu najpierw dasz jeść, psu, kotu czy królikowi?”. Nie powiedziałyby się nigdy „czemu dasz jeść?”, choćby chodziło nawet o stworzenie mniejsze od królika, jak mysz lub żaba. Nie powiemy również „co zjadło chleb?”. Wskazywałoby to, że użycie zaimka *kto?* zależy trochę od funkcji, jakie możemy przypisać istocie, którą mamy na myśli, to znaczy, że użycie *kto?* lub *co?* pozostaje w związku nie tylko z kategorjami „osoba” — „zwierzę”, ale i z pewnymi odróżnieniami dodatkowymi, czasem sytuacyjnymi.

Mówiąc do dziecka, łatwo możemy zapytać: „kto ci się najwięcej podobał w ogrodzie zoologicznym: małpa, tygrys czy foka?”. Pytaniem takim poniekąd zbliżamy zwierzęta do ludzi, ujmujemy je w kategorjach osób, do czego dziecko ma skłonność (tak samo, jak do używania przedmiotów poruszających się: pięcioletni chłopak opowiada: „tramwaj ruszył, a on *temu tramwajowi* uklęknął na stopniu”).

Rygorystycznej zasady normującej użycie form *kto?* *co?* niema (niestety?). Zaimek *kto?* nasuwa głównie wyobrażenie osoby, z ujawniającym się czasem odcieniem męskości, prócz tego, jak formułuje sama osoba pytająca, p. Markowska, może się niekiedy odnosić wogóle do istot „wyżej zorganizowanych”. Zaimek *co?* ma znaczenie zupełnie ogólne i przeważa w nim wyobrażenie „rzeczy”.

W praktyce szkolnej można dzieciom zostawić swobodę w używaniu zaimków *kto?* lub *co?* w odniesieniu do zwierząt i ptaków. A warto by w sposób

„dyskretny” wybadać, jak dzieci są samorzutnie skłonne te zaimki stosować (na podsuniętych przykładach).

Pytanie o podmiot „kto? co?” nie jest nieścisłością logiczną, bo pytanie to stwarza najogólniejsze ramki, w których winien się zmieścić każdy podmiot. Ściśle biorąc, możnaby i pytanie „co robi?” o orzeczeniu zakwestjonować, bo jeżeli naprzykład pies śpi albo traci sierść, to właściwie nic nie „robi”. Poza pewną przybliżoność w szkole czasem wyjść nie sposób. *W. D.*

### ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

17. Ze szczególną predylekcją używa się w Warszawie zaimka *on — ona — ono* w takich np. zdaniach: „...*wrzawa podnosi się podczas obiadu; zdaje się, że rozsadzi ona...*” Poco tu to *ona*, a jeżeli już ma być, to dlaczego po czasowniku? (17/22, S. W., Warszawa)
- (Rz) Naogół biorąc, istotnie przesadzamy czasem z temi zaimkami; ale tam, gdzie zdania główne łączą się przez spójniki *że, gdyż, chociaż* i t. d. z pobocznymi — jak jest właśnie w tem zapytaniu — powtórzenie zaimka w zdaniu podrzędnym, choć nie konieczne, wadliwe bynajmniej nie jest; owszem, czyni zdanie wyrazistszem. Przesławianie zaimka na drugie miejsce po czasowniku nie jest jakimś upodobaniem warszawskim; normą jest w języku, jak pisał niedawno prof. Szober w „Poradniku” (1934. str. 151), że wysuwamy ku przodowi zdania te wyrazy, które bliżej je wiążą z treścią zdania poprzedniego; otóż niewątpliwą jest rzeczą, że w zdaniu *zdawało się, że rozsadzi ona* — czasownik *rozsadzi* bliżej się wiąże ze *zdawało się* — ba, tutaj nawet bezpośrednio zapomocą spójnika — niż zaimek *ona*; dlatego właśnie wysuwamy *rozsadzi* ku przodowi.
18. Kim był Kościuszko? czy: kto był Kościuszko?
- (Rz) Forma takiego zapytania zależy od domniemanej odpowiedzi. Jeżeli oczekujemy odpowiedzi: *był Polak, katolik, wielki człowiek*, to forma *kto był Kościuszko?* — będzie dobra; jeżeli zaś idzie nam w odpowiedzi o stan, przymiot niestały, zajęcie np. *był wielkim wodzem, żołnierzem* i t. d., to zapytamy: *kim był?*
19. Załamek czy załomek?
- (Rz) Dawniej *załomek*, dziś przeważnie *załamek* (jak *ułamek*). Rdzeniem czasownikowym jest *łam* : *łom*; dzisiejsza forma *łamać* jest częstotliwą postacią dawnego czasownika *łomić*, który w literackim języku zaginął, utrzymawszy się w gwarach np. *złomił pazdur* na Podhalu.
20. Było masę ludzi — czy to poprawnie?
- (Rz) Jest to taki sam biernik, jak *parę, trochę* po nieosobowym *było* z liczeb-

nikiem nieoznaczonym (bo *masę* gra tu właśnie rolę takiego liczebnika). Rząd tedy byłby dobry, ale sam wyraz *masę* nie jest bez zarzutu: poco posługiwać się wyrazem obcym, gdy mamy polskie (*było wiele ludzi, mnóstwo ludzi* i t. d.).

21. W b. zaborze rosyjskim słyszy się często zapach zamiast woń (przykry zapach potu, zapach stęchłej kapusty). Uważam to za obcy wpływ.

(Rz) Niesłusznie; i *zapach*, i *woń* częściej się wprawdzie wiążą z odczuciem przyjemnym, ale mogą malować i odczucia wprost przeciwne; stało się to zapewne przez eufemję: chciano unikać wyrazów ordynarnych, jak *smród, odór, fetor*, i zastępowano je przez *przykry zapach, odrażającą woń*, a następnie dla skrótu i bez tych określeń. A już w żadnym razie *woń* nie wiąże się na stałe z wrażeniem przykrem. Na 12 cytat z różnych autorów i różnych czasów podaje Słownik Warszawski 11 przykładów, gdzie wyraz ma znaczenie przyjemne (*kwiaty, olejki, laki, kadzidla* i t. d.), a 1 tylko przykład ze znaczeniem ujemnym (*woń dymowa*). Oczywiście, lepiej jest te *wonie* i te *zapachy* (*niemiłe, ostre, duszące, przykre*) zaopatrywać w przymiotniki.

22. Na gruncie sądownictwa powstał nowy wyraz *innobytność* w znaczeniu *alibi*. Wydaje mi się wyraz chybionym, bo nie wyraża bytności *gdzie indziej*, a raczej bytność *inną* w czasie (nie w przestrzeni). Proszę o opinię.

(Rz) Zdanie zupełnie słuszne. Więcej nawet: owa *innobytność* nawet i w c z a s i e innej bytności nie maluje, mówi raczej wogóle o *innej* bytności. Nie o to przecie zgoła idzie w *alibi*. Nieudolny w formie i chybiony w sensie wyraz nie powinien wejść do słownika sądowego. Użył podobnego wyrazu niegdyś Słowacki, mówiąc o *idei w innobytcie*, ale *byt* miał tu znaczenie nie *przebywania*, lecz *istnienia*, przymiotnik zaś nie odnosił się słusznie ani do miejsca, ani do czasu, lecz do *istoty* nowego (przeobrażonego) bytu. Zresztą i formy zręcznego *innobytu* nie można porównywać z ciężką *innobytnością*.

23. Nic ujemnego nie słyszałem, czy *niczego* ujemnego...?

(A. W., Warszawa)

(Rz) W samym *nic* tkwi już (choć dzisiaj już tego nie odczuwamy) dopełniacz (*niczo, nico, nic*); może to właśnie wpłynęło na utrwalenie się form *nic nie słyszałem, nic nie zrobiłem*. Jeżeli jednak sam zaprzeczany czasownik rządzi dopełniaczem, to zwykliśmy i *nic* stawiać w dopełniaczu, np. *niczego nie nauczył się, niczego się nie boi*.

24. Czy dopuszczalne jest złożenie *heca-budy*? (A. L., Berezno)

(Rz) Oczywiście, nie. Po polsku trzeba by chyba powiedzieć *hecobudy*; ale jest to tak ozdobny wyraz, że lepiej nim nie wzbogacać języka; jeżeli już pozostać przy tych wyrazach, to lepsza byłaby *buda hecarska*.

25. Znalazłem w jednym z dzienników formy: ministra Titulesci, pana Titulescę. Jak można takie horrenda pisać? (K. A., Warszawa)
- (Rz) A no, nie nowina: dzienniki wiele piszą. Jeżeli nazwisko odmieniamy z polska, to pisać należy: *Tituleski, Tituleskę*; jeżeli jednak użyte są, jak tutaj, z przydawkami, to prościej będzie: pana *Titulescu*, ministrowi *Titulescu*, bo taki rozmach w polszczeniu nazwisk prędkoby się załamał przed innymi.
26. Skrytykowano mi powiedzenie obrywisty brzeg. Czy słusznie? (A. C., Krynki)
- (Rz) *Obryw, obrywisty* — to wyrazy rosyjskie. Z polszczyzną się, co prawda, nie kłóć, ale skoro mamy własne formy *urwisko, urwisty*, to niema chyba powodu do wprowadzania obcych.

## POKŁOSIE.

### „Opętany fascynacją awersji” do uczciwego języka.

Wiele się dziś mówi i pisze o przestrzeganiu czystości polszczyzny. Tak zwani „puryści” językowi chcą gwałtem usuwać z naszej mowy wyrazy obcego pochodzenia, piętnując nawet te, których obcość stoi pod znakiem zapytania; inni, bardziej umiarkowani, jak to umiarkowani, żądają umiaru; jeszcze inni, najliczniejsi, wołają wielkim głosem o prawo indywidualizmu języka w twórczości poety. Zresztą nie tylko języka: indywidualizm całkowity, bez zastrzeżeń, prawo swobodnego wyboru treści i formy, tematyki i rodzaju literackiego, stylu i języka — oto hasło, pod którym ta trzecia grupa występuje w dyskusjach i polemikach.

Ciekawym materiałem do dyskusji na ten temat mógłby być wydany w roku zeszłym utwór B. Schulza „Sklepy cynamonowe”<sup>1)</sup>. Utwór niezwykle oryginalny, którego treściowa i formalna strona jest bardzo ciekawym zjawiskiem życia literackiego, zjawiskiem, obok którego trudno przejść obojętnie. Tu właśnie indywidualizm twórcy pod każdym względem święci prawdziwe triumfy.

Pozostawiając na uboczu kwestję rozbijałego do niezwyklej granic indywidualizmu formy<sup>2)</sup>, tematyki, oryginalności konstrukcji, technikę przeprowadzenia motywów, zwróćmy uwagę na język, na to narzędzie poetyckie,

1) Bruno Schulz: „Sklepy cynamonowe”, str. 221. Tow. Wyd. „Rój”, 1934 r.

2) Na co zwrócił uwagę p. Z. Broncel w artykule „Literatura maligny” w „ABC” literacko-artystycznym (1934, nr. 6).

którem posługuje się p. Schulz. I tu wyświeśla się tajemnica słabych, zastanawiających i niepokojących stron owego indywidualizmu języka poety. Każdy twórca ma mieć prawo pisania takim językiem, dobierania takich wyrazów, które najlepiej (choć niezawsze zgodnie z poczuciem językowym ogółu) odpowiadają jego talentowi i które, zdaniem jego, najlepiej oddadzą treść utworu. Nic więc dziwnego, że p. Schulz w przekonaniu, że t. zw. język literacki, ogólnopolski jest tylko językiem na codzień, niedostatecznie wyrobionym i niedosć gładkim, by zdołał oddać pełnię tak artystycznie doskonałego obrazu, jakim jest obraz ojca, przemieniającego się w ptaka a potem w „karalucha”, używa języka wytworniejszego, odświeżonego, co korzystnie odbija się na reakcji czytelnika na treść: jeszcze mniej ją rozumie.

— Na dowód zastraszająco bogatego słownika autora „Sklepów cynamonowych” pozwolę sobie przytoczyć kilka urywków i zdań z tego dzieła.

„...heroizm kobiecości triumfującej urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insufficjencją męczyzny.” (str. 20).

Z tej samej strony, parę wierszy dalej:

„(szał rodzenia) ...wyczerpywał się... w efemerycznej generacji fantomów bez krwi i twarzy”.

„(Z lamp) ...jak z pękających czarodziejskich tortów, ulatywały skrzydlate fantazmaty...” (str. 57).

„Gestykulacja jego nabierała ezoterycznej solenności” (str. 73).

„Incydent ten ...da się chyba wytłumaczyć, jako pewnego rodzaju automatyzm szczątkowy, bez antecedensów i bez ciągłości, jako pewnego rodzaju złośliwość obiektu, przeniesiona w dziedzinę psychiczną” (str. 77).

„Były to w istocie istoty amorfne bez wewnętrznej struktury, płody imitatywnej tendencji materji...” (str. 89—90).

„Fascynowały go formy graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ekto-plazma somnabulików, pseudomaterja, emanacja kataleptyczna mózgu...” (str. 94).

„Ten miękki do effeminacji i zepsuty młodzieniec...” (str. 160).

Ten sam młodzieniec „przymila się i kryguje i chwilami robi wrażenie transwestyty” (str. 160).

„Plagą naszego miasta jest agiotaż biletów kolejowych” (str. 167).

„Mówiliśmy o imitatywnym i iluzorycznym charakterze tej dzielnicy” (str. 169).

„Opętany fascynacją awersji...” (str. 181).

„Zmarszczki... rosły... uchodząc w milczących wolutach w głąb nocy zimowej” (str. 83).

„Kalwaryjskie parodje manekinów” (str. 83).

„...wegetatywne i telluryczne ingredjencje obiadu...” (str. 8).

Zaznaczyć należy, że powyższe fragmenty nie wyczerpują bynajmniej słownika autora, nie są również jedynymi, które tu można przytoczyć. Jest ich więcej, tylko... nie można przecie przepisywać całej książki. Ze względów technicznych trzeba się ograniczyć do podkreślenia, że różne indyferencje, fascynacje, euforje, konglomeraty, amalgamaty, interludja, niuanse, dymensje, prestidigitatorzy — są temi złotymi nićmi, które autor dla okraszy przetyka szary len polskiej mowy. Jeżeli pod tym kątem widzenia spojrzymy na język p. Schulza, zrozumiemy, dlaczego nie wystarcza mu obca, ale częściej przez ogół używana analogja, dlaczego zastępuje ją przez wytworniejszy analogon i dlaczego wreszcie nawet spodnie są u autora ...iluzoryczne!

Tak więc motywy autora (psychiczne, nie literackie) stają się coraz bardziej jasne, poczynamy go nawet podziwiać i szanować za jego indywidualizm językowy. Niestety, jedna jeszcze pozostaje trudność i jedna przeszkoda w możliwości osiągnięcia pełni zachwytu nad dziełem p. Schulza. Otóż nie wszystkie wyrazy, używane przez niego, można znaleźć w słowniku wyrazów obcych. Oczywiście nie jest to wina tego „polskiego” autora, lecz czytelnika, który w tym wypadku rozporządzał tylko zbiorem 25.000 wyrazów. I ta zatem trudność daje się łatwo usunąć: poprostu powinniśmy kupić sobie obszerniejszy słownik i to jaknajprędzej, aby nowy utwór p. Schulza nie zastał nas nieprzygotowanymi!

Mimo to, w poniekórym czytelniku, zbyt tępym, by zrozumieć zamiary autora, czai się podświadome pytanie: Czy to jest język polski?

*W. Godziszewski.*

Na szczęście mamy nadzieję, że ten prawdziwy język polski „zatriumfuje urodzajnością nawet nad kalectwem natury, nad insufficjencją” autora „Cynamonowych sklepów”.

*W. D.*

#### NOWE KSIĄŻKI.

1. A. E. Balicki. *Godziny polskiego...* Garść uwag na temat nauczania języka polskiego w średnich szkołach zawodowych. Kraków, 1934, nakładem Szkoły Ekonomiczno-Handlowej i Instytutu Administracyjno-Gospodarczego, str. 51.

Broszura, której autor nie zasklepia się w formułkach i chce dążyć w nauce języka do uzgodnienia różnych postulatów natury dydaktycznej i społecznej, jest zasadniczo protestem przeciw upatrywaniu jedynego celu szkoły zawodowej w dostarczaniu społeczeństwu fachowców „uzdolnionych do pewnego, ściśle



określonego rodzaju pracy w danym zawodzie" (jak tego chce pewien autor) i w żadne pozatem wartości kulturalne przez szkołę nie wyposażonych. Przeciw tej koncepcji wysuwa p. A. Balicki tezę, że „poprawność mowy ojczystej i dbałość o nią obowiązuje nie tylko polonistów, lecz „zawodowców” również” (str. 11), i z tezy tej wysnuwa konsekwencje. Według niego „z charakteru szkół zawodowych wynika, że język polski powinien w nich odegrać rolę pierwszorzędną, jako przedmiot podstawowy, przeznaczony do kształtowania wnętrza duchowego młodzieży”, „jeśli gdzie — to w szkołach średnich zawodowych zasięg nauki polskiego winien być jak najszerszym” (str. 48).

Naukę języka pragnąłby autor przede wszystkim wiązać z t. zw. realjami, więc głównie z historią kultury narodu: gramatyki nie obdarza ciepłym uczuciem. Słuszny nacisk kładzie na konieczność nauczania uczniów dobrego czytania i dobrej wymowy (dykcji): jest to istotnie sprawa bardzo u nas zaniedbywana.

„Maksymalistą” pod względem programowym jest autor w zakresie historii literatury: zdaniem jego „właśnie w średniej szkole zawodowej literatura powinna być uwzględniana... w zakresie nawet szerszym, niż w gimnazjum ogólno-kształcącym” (str. 24), a to z tego względu, że w szkole zawodowej szczególnie zachodzić może potrzeba „ukulturalniania młodego człowieka” (str. 49), w czym autor zdaje się widzieć ostateczny i najwyższy cel nauczania języka polskiego (w rozleglejszym, obejmującym i sam język i literaturę znaczeniu tego wyrazu): „zależy nam na tem, abyśmy oddawali społeczeństwu siły nowe nie tylko do wykonywania zawodu pod każdym względem *usprawnione*, lecz także *bogate* duchem”, mówi jedno z ostatnich zdań broszury.

Nie wszystkie twierdzenia autora przekonywają. Z tem, że „niedopuszczalne jest, by język polski stał się *ancilla historiae*” (słowa prof. Kleinera, przytoczone na str. 25 broszury), byłoby zgodne również twierdzenie, że uczenie języka tylko w związku z realjami, jak właściwie chciałby autor, nie może wystarczyć. Sama budowa języka i mechanizm jego funkcjonowania kryją w sobie rzeczy i bardzo ciekawe, i bardzo pouczające. Ale jest to temat zbyt rozległy, by go tu rozwijać.

Z faktu, że „mamy liczne słowa, które brzmią dzisiaj tak samo, jak przed tysiąc pięciuset laty, i że słów takich ani Anglik, ani Francuz, ani Niemiec nie wykaże u siebie ani jednego” (str. 13, cytata z Brücknera) niema właściwie powodu być dumnym: fakt ten dowodzi tego tylko, że ewolucja języków słowiańskich miała powolniejsze tempo, niż ewolucja języków zachodnich.

Twierdzenie, że „u Słowian zapoznali się Niemcy z *piwem* i według tego słowa urobili swoje *Bier*” (str. 14) należałoby i bliżej wyjaśnić i czemś poprzeć. Autor znanego słownika etymologicznego języka niemieckiego, F. Kluge,

uważa niem. *Bier* za wyraz zapożyczony przez klasztory niemieckie w 6-ym — 7-ym wieku z łaciny ludowej, gdzie *biber* (por. *bibere* — pić) znaczyło napój. Pewna analogja historyczno-znaczeniowa ze słowiańskim *piwem* jakgdyby więc jest, ale dla twierdzenia o bezpośrednim oddziaaniu wyrazu słowiańskiego na niemiecki brak danych. Prof. Brückner w *Sł. Et.* nadmienia, że „niem. *Bier* zagadkowe”.

Niema również pewności, czy niem. *Silber* jest przekształconem *srebrem* słowiańskim.

Wyraz o ruskiej fonetyce — *połoniny* — znalazł się wśród zapożyczeń z rumuńskiego (str. 16). Za wyrazy rumuńskie uważa autor również *hale*, powszechnie wywodzone z czeskiego, *manatki*, w istocie pochodzenia włoskiego (*manata* — garść), *szalas* — węgierski.

Obowiązek recenzenta — i to w *Poradniku* — zmusza, niestety, do zanotowania zdarzających się w broszurze usterek językowych. Należą tu takie formy i wyrazy, jak *oddechać* (sic, str. 10), „winne znajdować się książki”, „powinno tam leżeć... dzieła” (str. 17), „ćwiczenia... winne się odbywać” (str. 18), „wymagania... winne być...” (str. 10) — zamiast *winny*, *powinny*, bo są to wszakże orzeczniki (szczegół gramatyczny). „Czytane dzieło, omawiany utwór, oceniani pisarze *nie śmiać* zawisnąć w powietrzu” (str. 29), „zmuszeni byli przy *dotyczącym* warsztacie pracować” (str. 42).

Czasem bezpośrednio obok siebie stoją wyrażenia równoznaczne, mające się różnić niewiadomo jakim odcieniem, np. „sprawy społeczne i socjalne” (str. 26), „objaw przykry, pedagogicznie i wychowawczo nawet szkodliwy” (str. 27). Podobnie „wyłącznie tylko” (str. 28).

Nie zabrakło i tak częstego dzisiaj „w kierunku”: „...*uprzedzeń*, jakie społeczeństwo polskie posiada... *w kierunku* szkolnictwa zawodowego” (str. 6; a może byłoby naturalniej „mieć” niż „posiadać” *uprzedzenia*?). „Wymagania w tym kierunku w stosunku do młodzieży winne (sic) być” i t. d. (str. 10).

Rażą orzeczenia na pierwszym miejscu zdań: „Uczy obserwacja... że” (str. 5), „Poleca komisja, by...” (str. 6).

W. D.

2. Józef Sykulski, magister filozofji: filologii polskiej i pedagogiki. *Przyczyny i rodzaje błędów i pomyłek językowych*. Warszawa, 1934, str. 32. Skład główny „Nasza Księgarnia”.

Rozprawka ta, poświęcona przyczynom i rodzajom błędów i pomyłek językowych, składa się z dwóch części. W pierwszej części autor stara się określić pojęcie błędu w mowie i piśmie (co odchyła się od normy — jest błędem). W drugiej podaje przykłady na pomyłki w mowie i piśmie i rozważa przyczyny tych pomyłek ze stanowiska psychoanalizy Freuda. Szkoda, że autor nie podał

różnicy między błędami a pomyłkami. Sądząc z przykładów, podawanych przy pomyłkach, możnaby przypuszczać, że przez pomyłkę należy rozumieć chwilowe, jednokrotne wykolejenie pod wpływem uczucia lub narzucającego się mówiącemu czy piszącemu w danej chwili obrazu. Słowem, byłyby to potknięcia językowe, z których mówiący zdaje sobie sprawę, choć w chwili mówienia nie uświadamiają ich sobie — nie zaś stałe, nieświadome tendencje artykulacyjne czy myślowe. Tak jednak nie jest. Autor, aczkolwiek odgraniczył wyraźnie błędy od pomyłek, miesza je ze sobą. I tak, przykłady, które podaje raz jako błędy, przytacza w innym miejscu jako pomyłki i odwrotnie, np. „dak” jako przykład kontaminacji „tak i da” występuje na str. 15 jako błąd, na str. 21 jako pomyłka.

*Naokoło, wkiedy, niedziwiedzica, małżeństwo, melidunek* na str. 14 przytaczane są jako błędy epentezy spółgłosek w mowie, na str. zaś 28 jako pomyłki w pisaniu. Jest więcej przykładów tego rodzaju pomieszania pojęć. Kontaminację określa autor jako „tworzenie nowego wyrazu z dwóch innych lub z elementów wyrazów” (str. 28 p. 3). Pomijając niezręczne i niejasne sformułowanie tego pojęcia, trzeba stwierdzić, że przykłady są zupełnie nieodpowiednie: „mieli strzelby o tym samym *kalibrem*”; „*aż talasy* (te lasy). Na tej samej stronie (p. 4) podaje autor jako błąd (w pisaniu) tworzenie dwóch wyrazów z jednego: „Pan żem nie żartuje” zam. *ze mnie*. Gdzież tu jest jeden wyraz? Na następnej zaraz stronie wśród pomyłek *w pisaniu* wlicza w p. 9 „upodobnienia *fonetyczne*” i jako przykłady podaje: *tagże, biskub, pszyjaciel*. Pod p. 14 na „bezmyślne przestawianie wyrazów” przytacza jako przykłady: *Myśliwy zastrzelił zająca — Myśliwy został zastrzelony przez zająca*. Ostatni przykład nie jest przecież prostym przestawieniem wyrazów.

Wymowa *pęsj*a (pensja) — str. 13 — właściwa jest większości Polaków. Na str. 14 p. 7 — przykłady na wstawianie nowych spółgłosek (epenteza): *melidunek, małżeństwo, weksele* (weksle) i t. p., *wkiedy, salamin* (salami). W pierwszych przykładach „wstawione” spółgłoski są samogłoskami, a w ostatnich pojawiają się na początku lub na końcu wyrazu, i — co najważniejsze — nie są pochodzenia fonetycznego. Na tejże str. w p. 6 — zamiana jednych głosek przez inne. Przykłady: „*lepek (tebek)*” — jeśli mowa o błędzie, to powinno być wprost przeciwnie. Bardzo rozciągliwe jest u autora pojęcie „zamiany jednych głosek przez inne”. Na str. 21 p. 4 jako przykład *antycypacji* wygłosu: „on tak pisał do jednego ze swojego (zam. swoich) przyjaciół”. Jak na dwukrotnego magistra — usterek tych jest cokolwiek za wiele.

Wymieniłem tylko najważniejsze. Błędy druku i niestaranność stylu pomijam.

Rodzaje pomyłek, zebrane przez autora, mogą zainteresować psychopatologów lub psychoanalityków, którzyby zechcieli pokusić się o ich zanalizowanie

i uzasadnienie. Ale tego rodzaju wykołajenia nie sprowadzą języka polskiego na bezdroża i nie wywołają chaosu, którego ponury obraz kreśli autor na początku swej książeczki. Dziwnem wydaje się również żądanie autora, aby językoznawcy dążyli do stworzenia norm ustalających, czy dany zwrot jest zgodny czy niezgodny z duchem języka. Na nic się nie zdadzą normy i nakaz prawidłowej wymowy dla tego rodzaju doraźnych pomyłek, skoro ktoś, myśląc o swym jutrzejszym wyjeździe do Żarnowic, powie: „żarnierskim krokiem” zam. żołnierskim. Nie od językoznawców trzeba domagać się na to lekarstwa, ale raczej od psychiatrów.

Plany domagania się reformy pisowni polskiej i ustalenia jej przyszłych podstawowych zasad, z punktu widzenia teoretyczno-naukowego i praktycznego nie wydają się możliwe do urzeczywistnienia. Własnej pracy stawia autor nieco dziwne wymagania. Nie powinna ona odpowiadać zasadom naukowym, które uważa za bardzo płynne, ale wystarczy, że „zanim opublikuje się pracę, trzeba ją dać do przejrzania nie specjalistom, ale laikom, tym, dla których ona jest przeznaczona”. Z tego autor zdaje się być bardzo dumny: „Ja to uczyłem...”

#### Exegi monumentum...

Na zakończenie kilka słów o metodzie psychoanalitycznej, którą autor z zamiłowaniem uprawia i przy pomocy której stara się objaśnić przyczyny pomyłek językowych. Jest to, jak wiadomo, metoda zastosowana w psychiatrii przez Freuda, a polegająca na uświadamianiu i wydobywaniu na jaw, przy pomocy zręcznych pytań zadawanych cierpiącym, ukrytych w podświadomości kompleksów myślowych, a w naszym wypadku wyrazów, które, dążąc do ujawnienia się, mogą być powodem błędów.

Dla ilustracji tej metody przytacza autor nast. przykład z Green'a („Psychoanaliza w szkole” przeł. dr. Z. Ziemiński, W-wa 1928, str. 176-7): Pewna uczenica jednej z wyższych klas szkoły średniej napisała w wypracowaniu zam. wyrazu „locus” (miejsce geometryczne) wyraz „locust” (konik polny). Kiedy przy pomocy chytrych pytań psychoanalityk wydobyl z niej, że nie cierpi zarówno miejsc geometrycznych, jak i owadów, doszedł do następujących wniosków: „Robiąc błąd w pisowni, przyrównywała tu zatem miejsca geometryczne, których nienawidzi, do owadów, których również nienawidzi. Ale od geometrii nie może ująć, gdyż jest to częścią jej obowiązkowej pracy szkolnej, natomiast zetknięcia się z owadami może unikać. Wobec tego podstawiła nazwę owadu zamiast miejsca geometrycznego i w ten sposób wyraża swe pragnienie uchylecia się od roboty, która jest jej niemiła”. Jeśli w ten sposób mielibyśmy analizować i objaśniać błędy językowe, to uchowaj nas Boże od takiej metody!

*Stanisław Skorupka.*

## CO PISZĄ O JĘZYKU?

Komitet, mający opracować odnowa zasady naszej pisowni, rozpoczął już pracę. Potrwa ona czas dłuższy, ponieważ przewiduje się zwołanie w dwumiesięcznych odstępach pięciu zjazdów członków Komitetu. Należy się spodziewać, że taki sposób pracy, sprzyjający zastosowaniu wielkiej rozwagi przy wszelkich rozstrzygnięciach i dokładności w opracowaniu ostatecznych przepisów — odda sprawie duże usługi.

Jak wiadomo, samo zagadnienie pisowni ze stanowiska językoznawstwa jest mało istotne, natomiast z punktu widzenia społeczno - kulturalnego ma znaczenie wręcz doniosłe. Chodzi wszak o ogół piszących, w warunkach więc, do których dążymy — o całe społeczeństwo. Kulturalna, w ściślejszem ujęciu, strona zagadnienia — to jakość przepisów ortograficznych, a zatem przede wszystkim ich prostota i w granicach możliwości konsekwencja.

Zresztą, kogo nie przekonują o ważności sprawy argumenty teoretyczne, ten musi ustąpić przed wymową rzeczywistości: oto zagadnienie pisowni nieodmiennie i stale roznamiętnia umysły, wznieca wprost gwałtowne uczucia.

Widzimy to jasno i tym razem, przeglądając dzienniki z ostatnich kilku tygodni.

Szereg pism (lwowska „Gazeta Poranna”, poznański „Nowy Kurjer”, „Kurjer Bydgoski” z 9.I, „Robotnik” z 10.I i łódzka „Prawda” z 13.I) zamieszcza w całości lub w urywkach rozesłany przez Polską Agencję Oświatową artykuł p. K. Kępskiego p. t. „W przededniu reformy ortografji”. P. Kępski kreśli dzieje naszej pisowni od r. 1918 do chwili zwołania obecnego Komitetu. Dalej wyraża przedwczesną chyba obawę, czy czasem „nowa pisownia nie będzie znowu zawiłym zbiorem przepisów i postanowień, przeznaczonych dla fachowców, a nie dla ogółu społeczeństwa”.

Pewnych informacji udzielił prasie prof. Nitsch, który podkreśla, że „już sam skład Komitetu, obejmującego przedstawicieli różnych organizacyj i stowarzyszeń, wskazuje najlepiej na charakter tego zespołu, który ma reprezentować opinię szerszych kół naukowych i kulturalnych”. Nadto w owych informacjach podane są właśnie instytucje i stowarzyszenia, reprezentowane w Komitecie, i omówiony jest zarys metody prac Komitetu.

Wiadomość te podały w skrótach lub w pełnem brzmieniu liczne dzienniki z 11, 12 i 13.I.

Obok tych informacji w dziennikach ukazują się indywidualne artykuły i artykuliki. Ze wszystkich przebija zdenerwowanie z powodu panującego dziś w pisowni chaosu, a zarazem życzenie, by nowe przepisy były jak najprostsze, a więc, by w pewnych wypadkach przyniosły zasadnicze zmiany. Nie mówiąc już o ujednostajnieniu końcówki -ym w narzędniku i miejscowniku odmiany przymiotnikowej, niektóre artykuły („O uproszczenie ortografji” — lwowska „Re-

duta" z 13.I, „Sprawa pisowni" — „Człowiek w Polsce" z 9.XII ub. r., „Jak się pisze?" — „Dziennik Pomorski" z 16.XII ub. r.) domagają się usunięcia dwoistości u — ó, ż — rz, h — ch.

Wśród wszystkich artykułów i wzmianek najsilniej, już przesadnie, zniecierpliwiona jest notatka „Człowieka w Polsce"; artykuł „Reduty" zwraca uwagę na wzgląd narodowościowy, mianowicie pismu chodzi o przeciwstawienie, na Kresach wschodnich, trudnemu alfabetowi ukraińskiemu prostej i łatwej pisowni polskiej.

„Kurjer Poranny" wreszcie zaznacza („Nowa zmiana ortografji" w n-rze z 15.XII ub. r.), że pisownia, o ile to możliwe, nie powinna odbiegać zbyt od wymowy, w każdym zaś razie nie może jej swym wpływem zniekształcać. Musimy się tu liczyć z wiadomym faktem, że „mnóstwo ludzi uczy się mówić poprawnie z drukowanego słowa i w stosunku do „wydrukowanego" odnosi się ze skrupulatnym pietyzmem".

Śród rozlicznych rad i projektów pisownianych niebrak pomysłów zgoła dziwnych i najniepraktyczniejszych w świecie. Jako przykład takich okazów służy szkic nowej pisowni i nowego abecadła p. K. Missony („Reforma pisowni" w „Ilustr. Kurj. Codz." z 14.I). Przy pozorach pomysłowości i naukowości autor wykazuje nieznaną rzecz i pewną naiwność; są i pomysły zgoła dziwne. Np. głoski *cz*, *dż*, nazywa *twardzonemi*, proponuje nowe znaki dla grup *ps*, *kw*, i t. p.; proponuje zamiast *ch* przekreślone u góry *h*, nie wiedząc zapewne, że znak ten ma określoną wartość w języku serbskim (*č*). Szerzej zasady swoje wyłożył p. Missona w broszurze „Nowy abecadlnik polski A O U". Wspomina o niej żartobliwie „Gazeta Polska" (z 17.XII ub. r.).

Nigdy nie napisze się zbyt wiele, wytykając błędy językowe fatalnym przykładom beletrystyki. Nową wiązaną z tej oślej łąki polszczyzny przynosi krakowski „Głos Narodu" z 14.XII ub. r. (H. Mossoczy: „W obronie godności języka"). Oto próbki: „Panie adorowały Grauerowi"; „możesz podziękować swego anioła stróża".

Z polskich oryginałów: „Piszę (list) od godziny i wciąż podziera (ma być — drę); jak pieszczotliwie ugrupowanym był jej uśmiech" i t. d. Cytujemy nie dla zabawy, ale dla wywołania oburzenia, protestu. Im powszechniejsze będzie to oburzenie, tem prawdopodobniejsza poprawa istniejącego stanu rzeczy.

Z powodu ukazania się nowego wydania pism B. Prusa, p. K. A. R. wystąpił („Kurjer Polski" z 1.I) z ostrzeżeniem „P. p. purystom — ku rozważeniu". O cóż chodzi? Dawni wydawcy dzieł Prusa mieli nieinteligentnych korektorów językowych, którzy w wielu miejscach zniekształcili tekst pisarza. Ta okoliczność dała panu K. A. R. pochop do wystąpienia przeciw specjalistom językowym w zakładach wydawniczych, wziętych w ogólności. Wystąpienie nierozważne i szkodliwe.

„Kurjer Polski” (z 11.I) i „Gazeta Polska” (z 27.XII ub. r.) zajmują się zagadnieniem wymowy w radju. Troskę o język mikrofonu uznać trzeba za nader chwalebna. Można się tu zgodzić z wnioskiem obu artykułów, iż ze wszystkich polskich rozgłośni rozbrzmiewać winna mowa jednolita, co do charakteru — pośrednia między językiem potocznym a uroczystym. Oczywiście, mamy na myśli stronę dźwiękową języka.

W jednym ze swych Kącików językowych („Gazeta Warszawska z 14. XII ub. r.) p. A. Chojecki zwraca uwagę na usterki polszczyzny tekstów i napisów filmowych. Występuje też przeciw filmom t. zw. dubbingowym, ponieważ rozbieżność między ruchami ust aktorów i dźwiękiem słów będzie rażąca, samym zaś tekstem grozi wykoślawienie; trzeba będzie bowiem odpowiednio dostosowywać długość tekstu polskiego do obcego.

Innym razem (21.XII ub. r.) p. Chojecki przytacza w całości artykuł prof. B. Hryniewieckiego (str. 151 „Poradnika”, r. 1934) o *pompeli*. Wyjątki z tego artykułu podaje też „Słowo wileńskie (z 23.XII ub. r.), dorzucając jakieś niezrozumiałe ironiczne uwagi.

Prof. dr. O. Bujwid, redaktor miesięcznika „Pola Esperantisto”, wysławia zalety esperanta w artykule „Czy łacina może zostać językiem międzynarodowym” („Gazeta Polska” z 11.I). Prof. Bujwid, entuzjasta literatury klasycznej, stanowczo stwierdza, że trudna do nauczenia się łacina nie może się dziś ubiegać o stanowisko języka międzynarodowego. A. S.

### LIST DO REDAKCJI.

W „Ilustr. Kurjerze Codziennym” z dnia 11.I.1935 r., niepodpisany nauczyciel szkół średnich napadł do spółki z redakcją tego dziennika na zasłużony i wielce pożyteczny „Poradnik Językowy”, posądzając go ni mniej ni więcej, jak o... szkalowanie Małopolski i sianie różnic dzielnicowych. Ponieważ mimowolnym sprawcą tej niewybrednej a poniekąd nieuczciwej napaści stałem się ja, jako autor przytoczonego częściowo w „Poradniku Językowym” artykułiku, przeto poczuwam się do obowiązku wyjaśnienia tej przykrej sprawy ludziom dobrej woli.

Mój artykuł p. t. „Z psychologii języka” pojawił się w czasopiśmie regionalnym, w „Wiciach Wielkopolskich” (Rok IV, Nr. 9 (36) z września 1934 r.), do których pisuję od lat kilku. Chodziło tu więc o istotnie podsłuchaną kłótnię małżeńską, ale w Lesznie wielkopolskim, nie na Lesznie w Warszawie, jak to mylnie pojął niefortunny informator krakowskiego dziennika. Napaść na Warszawę przypomina tu powiastkę o kowalu, powieszonym za winy ślusarza...

Że wyraz „galicjak” stał się wyrazem obelżywym na terenie Wielkopolski, to jest fakt z dziedziny znanych każdemu poloniście zjawisk językowych,

czego niema potrzeby tłumaczyć czytelnikom „Poradnika Językowego”. Zresztą, jako Małopolanin, nie gorszy od zespołu redakcyjnego „Ilustr. Kurjera Codz.”, nie ośmieszałbym swej ściślejszej ojczyzny, a proces zacierania śladów dzielnicowości w sensie zaborczym należy u inteligencji do bezpowrotnej przeszłości, wobec czego podobne zjawisko z psychologii języka możemy traktować nawet z humorystycznego punktu widzenia, co zaznaczył w uwadze autor kroniki „Co piszą o języku?”.

*Juljan Szpunar.*

\* \* \*

W związku z powyższem, przypominamy słowa Komunikatu Redakcyjnego, umieszczone w 1 zeszytce pisma z r. 1933: »„Poradnikowi” obcy jest duch wszelkiego partykularyzmu, wszelkie wypominanie granic dawnych zaborów, wszelkie wywlekanie rzeczy, które kiedyś poniżały naszą godność.«

Słowom tym pismo było i będzie wierne.

Napaściami, płynąciami ze złej woli i chęci szkodzenia pismu, zajmować się nie zamierzamy.

*Redakcja.*

## K R O N I K A.

Dnia 19 grudnia 1934 r. odbyło się miesięczne zebranie naszego Towarzystwa z odczytem p. Stanisława Skorupki na temat „Jak wyrażamy uczucia w języku”.

Prelegent zwrócił uwagę na cały szereg sposobów, służących do oddawania w słowie najróżnorodniejszych odcieni uczuciowych.

Teoretyczne założenia odczytu, zobrazowane były obficie zgromadzonymi przykładami, które nadały im „życia rumieniec”.

Po odczycie słuchacze dzielili się z prelegentem swemi spostrzeżeniami z omówionej dziedziny psychologiczno-językowej.

Dnia 16-go stycznia odbył się w Warsz. Kole T-stwa Miłośników Języka Polskiego odczyt prof. Słońskiego, który poddał analizie przeprowadzoną przez siebie w kołach słuchaczy Polskiego Radja ankietę na temat składniowych możliwości zredagowania zdania *Moich dwoje dzieci było chore*; możliwości takich mniej lub więcej uzasadnionych jest aż sześć. Potoczyła się żwawa dyskusja, która raz jeszcze dowiodła, że poruszanie takich p r a k t y c z n y c h zagadnień języka budzi duże zaciekawienie wśród słuchaczy.

---

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

---

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.  
STANISŁAW MACHOWSKI

---

KOMITET REDAKCYJNY: JAN RZEWNICKI, PROF. STANISŁAW SŁOŃSKI, PROF. STANISŁAW SZOBER

---